

LUDWIK STASIAK

HOWE



BUMBORESKI

Nowe Humoreski

Rysunek na okładce wykonał Wincenty Wodzinowski

Ludwik Stasiak

Nowe Humoreski



W Krakowie MCMV ——— Skład główny
w Księgarni Gebethnera i S-ki w Krakowie, 1805
Gebethner i Wolff w Warszawie = Odbito
czcionkami Drukarni Narodowej - Kraków.

Humoreski
Nowe
Ludwik Stasiak



72571

Wydawnictwo Literackie
ul. Krakowska 10
00-232 Warszawa

K-52/47/78922

BUŁECZKA Z KAWIOREM

Humoreska pisana w sądzie karnym.



Przedewszystkiem wobec nieprzyjaciół moich, złośliwych ludzi, a mnie nienawidzących, zastrzedz się muszę, że w sądzie karnym byłem tylko jako świadek. Ja tam stałem, a nie siedziałem.

* * *

Między sławą a niesławą, między zaszczytem a hańbą, leży nie przepaść niezgłębiona, lecz bułka z kawiozem. Taka zwykła bułeczka za grosz, pokryta czarnymi perłami ikry rybiej... Pouczający dowód tego dam wam, szanowni czytelnicy, w następującej nader wzruszającej opowieści.

Był sobie Paweł i Gaweł. Ludzie zamożni, majątki mieszczańskie, gospodarstwa zasobne. Mieli oni ciotecznego brata Szawła, łotra wielkiego i nicponia. Szaweł okradał rodzeństwo, przepijając majątek, podpisując braci na wekslach, trwoniąc wiana siostr.

— Żebyś raz już zczesz! — wołała na niego rodzona matka.

— Wyjedź do Ameryki, strać się marnotrawco i wyrodku! — klęła siostra.

— Że też takiego łotra święta ziemia nosi! — narzekał brat.

Szaweł odpowiadał na te złorzeczenia zawsze:

— Dajcie mi pieniędzy, to ja pojedę za morze.

— Wybrałeś już wszystko, przelampartowałeś całą ojcowiznę. Nie masz u nas nic. Strać się z oczu wyrodku.

Stracił się też Szaweł ze świata w sposób naprawdę straszny. Lęk bierze opowiadać. Raz gdy Paweł i Gaweł mierzyli las ojcowski, nadszedł Szaweł i wszczął z nimi awanturę. Po ostatnich wyzwiskach uderzył Gawła w twarz, Pawła zaś wybił kijem. Rozjuszony chłopcy rzucili się na łotra i zaczęli bić. Po łbie, po plecach, gdzie padło. Biją... a tu Szaweł zamyka oczy, blednie i na ziemię pada. Patrzy Gaweł, a Szawłowi serce bić przestało...

— Matko Boska, zabiliśmy Szawła!

— Już nie żyje!

— Co począć?!

— Co? Dać znać do sądu i iść do kryminału.

— Boże uchowaj nas!

Stanęli chłopcy jak oniemiała w lesie, nie wiedzą, co począć, dokąd kroki swe skierować. Cisza upalnego dnia szumiała im w uszach; gdy z dalekiej wieży kościelnej zaczęła bić dwunasta godzina, wydawało się, że to pogrzebowe dzwony nad ich trumną grają.

— Co poczniemy Pawle?

— Czy ja wiem?

— To się przecie nie ukryje.

— A jednak pogodzić się z myślą nie mogę, że gnić trzeba będzie w więzieniu.

— Jeśli nas zamkną, w praszczęta pójdą majątki naszej braci małoletniej.

— Na marne sieroty zejda.

— Tak się ludziska majątkiem ich zaopiekują, że po prośbie maleństwo pójdzie.

— Gawle, my zabójstwo ukryć musimy.

— Nie uda się.

— Ha, jak się nie uda, to trudno. Ale może choć do czasu się uda.

W przepaści jaru wykopali dół i pogrzebali

Szawła. Paweł zdjął krzyż, który na sznurku nosił na szyi i włożył do rąk zabitego; Gaweł pobożnie odmówił: Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie.

* * *

Minął rok, dwa lata, sprawa się nie od-
kryła. Gdy się ludzie o Szawła dopytywali,
odpowiadała rodzona jego matka:

— Szatani go do Ameryki ponieśli. Niech
zcczenie, niech nie wraca.

Pawła i Gawła co niedzielę prawie widać
jak krzyżem w kościele leżą, Boga i Naj-
świętszą Pannę o przebaczenie prosząc. Co
jakiś czas idzie Paweł lub Gaweł do księdza
wikarego, kładzie na biurku piątkę i prosi
o śpiewaną wotywę: Za dusze w czyściu ko-
nające.

Matkę Szawła otaczał Paweł i Gaweł opie-
ką i synowską iście miłością. Mówili zawsze
do siebie:

— Mój Pawle, nie zapłacimy jej straty
nigdy.

— Zawsze to był syn, a co dziecko, to
dziecko.

— Cała rodzina rada, że się gdzieś zapo-
dział, a przecie coś mówi, że zrobiliśmy matce
krzywdę. Miała dziecko, a teraz go nie ma.

— Naprawiajmy biedę, jak możemy.

I naprawiali.

Pod zimę zabije Paweł wieprzka i połowę
posyła matce Szawła:

— Naż wam wujno pół wieprzka.

A Paweł czy zbierze proso, czy sliwki wę-
gierki, czy miód nasyci lub orzechy otrzęsie,
to większą część posyła babie i mówi:

— Naż wam wujno pięćdziesiąt kóp orze-
chów.

Babina, która przed laty na widok rujnu-
jącego się majątku ze żalu i zgryzu pozie-
leniała, odmłodła teraz, bo gospodarstwo pię-
knie idzie, a krewniaki dodają; co kto może.
Pije babina sytny lipiec i śpiewa:

Mam włosy czarne
Perfony świeże
Uśmiechu mało
I dwa kołnierze.

Wszystkie długi Szawła zapłacili z własnej

kieszeni Paweł i Gaweł, wyłowili wszystkie weksle, na których była ręka Szawła, a nazwiska Bóg wie czyje.

* * *

Los sprzyjał, dorobek rósł i znaczenie rosło. Raz przyszedł do Pawła Gaweł i rzecze mu:

— Wiesz ty co? Mieszczanie chcą cię wybrać posłem do parlamentu.

— Czyś oszalał?

— Naprawdę. Na zgromadzeniu wyborców mówiono ciągle: Nikt jeno Paweł, obywatel piśmienny, gazetę czyta, na polityce się rozumie, dla sąsiadów serdeczny i ludzki... Jak czas przyjdzie na wybory...

— Pleciesz Gawle, pleciesz! Jak chcesz, to ja ci pokażę parlament, do jakiego my obaj pójdziemy...

— No?

Paweł wyciągnął z kufra książkę i dał ją Gawłowi.

— Kodeks karny.

— Cóż to niby za parlament?

— Tu jest spisane, ile lat parlamentu nam się należy za...

— Nie wspominaj mi nawet o tem. Osiemnaście lat minęło i ja już mam sumienie czyste.

Rzucił książkę na stół.

— Nie rzucaj tej książki, nie rzucaj, ma ona bowiem dla nas i słowa otuchy...

— Ładna mi otucha: śmierć przez powieszenie, dożywotni kryminał...

— Nam się należy dwadzieścia..

— Za zabójstwo, mówią, dziesięć.

— Jak krewnego zabijesz to dwadzieścia, wyraźnie stoi.

— A widzisz... Będziesz w parlamencie.

— Czytajno jednak...

— Cóż takiego?

— »Paragraf 227. Przez przedawnienie umarza się tak zbrodnia jak i kara, jeśli winowajca od chwili popełnionej zbrodni przez przeciąg czasu, niniejszą ustawą przepisany, do dochodzenia przez sąd krajowy pociągnięciem nie był«.

— Cóż to znaczy?

— Jeśliś przez czas ustawą przepisany żył uczciwie, to ci winę darują.

— A jakież to jest czas ustawą przepisany?

— Czytaj paragraf 228:

»Czas do przedawnienia wymagany oznacza się dla zbrodni karą dożywotniego więzienia zagrożonych, na lat dwadzieścia«.

— Jakto? jakto?

— Za dwa lata następuje przedawnienie, a my jesteśmy wolni od winy.

— Co pleciesz? Pokażno ten kodeks. — »Przez przedawnienie umarza się...« no tak, lat dwadzieścia, a juści. Dziękować Bogu. Ciężar człowiekowi z serca spadnie.

— Kiedy to było? W połowie sierpnia. Za lat dwa, dnia piętnastego sierpnia, będzie lat dwadzieścia.

— Powiemy wszystko w sądzie.

— Poco?

— Poco? A pocóż ty, gdy cię grzech na sumieniu dławi, mówisz go jegomości do ucha?

— Masz słuszność. Opowiemy wszystko światu i oczyścimy się przed światem.

* * *

Minęło lat dwa.

— Wiesz co Gawle, ja będę kandydować do parlamentu.

— Masz słuszność.

— Ludzie mnie namawiają, wszyscy mnie chcą...

— Wielki zaszczyt.

— Tak myślisz?

— No, oczywiście. Poselstwo jest to największy zaszczyt, jaki mogą dać człowiekowi współobywatele. Powinieneś być dumnym i Bogu dziękować za to.

— Akurat podczas prawyborów trzeba nam pójść do sądu i...

— Powiedzieć wszystko.

* * *

Dnia 15 sierpnia przyszedł Gawel i Pawel do sądu. Musieli długo czekać, bo sędzia piisał bez ustanku, przerzucał papiery zawzięcie, paląc papierosy. Wreszcie zawezwał do biura Pawła i Gawła.

— Co wy powiecie Gawle?

- Panie sędzio, ja zabiłem człowieka.
 — Którego człowieka?
 — Szawła.
 — Co za Szawła?
 — Lat temu dwadzieścia...
 — Oszalałeś? Gadajże do mnie po ludzku, kogoś zabił? Człowieka czy lat dwadzieścia?
 Już miał Gawęł odpowiedzieć, gdy do biura wleciał jakiś pan z drugiego pokoju. Chwycił sędziego za rękaw i powiada:
 — Chodź, chodź!
 — Nie mogę.
 — Ależ na minutę.
 — Mam jakieś waryackie przesłuchanie.
 — Za kwadrans wróćisz. Za dziesięć minut wróćisz. Teraz minęło trzy kwadranse na dwunastą.
 — Poszedłbym, gdybym wiedział, że nie zatrzymacie mnie dłużej.
 — Nie zatrzymamy. Palniemy sobie po jednym i zjemy bułeczkę z kawiozem.
 Sędzia pogłodził się po żołądku. Aż przybladł na myśl o bułeczce z kawiozem.
 — Na kilka minut pójdę. Zaczekajcie tu ludzie, natychmiast wracam.

- Wyszli do sklepiku, który był naprzeciw sądu.
 Sklepik niepozorny, mały, a przecie najlepsze specjały tam sprzedają. Na śniadanie pocztowy śledez, lub gorąca polędwica, porter przepyszny...
 Wypili po kieliszku wódki, zjedli po kanapce z kawiozem, potem naturalnie szklanczka piwa, papieros... Z dopalającym się papierosem, wrócił do biura sędziego. Spieszył się, aż płucami robił.
 — Czego wy chcecie Pawle?
 — Zabiłem człowieka.
 — Jakto? I wy także? Obaj zabiliście człowieka?
 — Tak jest, obaj.
 — Kiedy się to stało?
 — Dwadzieścia lat temu. Dnia piętnastego sierpnia.
 — O której godzinie?
 — O godzinie dwunastej.
 — Skąd wiecie, że to było o dwunastej?
 — Zegar bił wtedy południe.
 Sędzia spojrzął po ludziach, spojrzął na zegarek. Była godzina kwadrans na pierwszą.



Myślał, długo przemyślał, przecierając czoło. Wziął kapelusz i opuścił salę. Za kilka chwil wrócił z drugim sędzią. Wnet przyszedł trzeci w długiej todze i birecie na głowie, wnet przyszedł czwarty w mundurze z guzikami i szablą przy boku. Na końcu przyszedł radca sądowy, chudy, ze szcziastym włosem, patrzący z podełba na ludzi, tak, jakby cały świat chciał powywieszać.

— Powtórzcie Pawle, jak to było?

Paweł i Gawel dokładnie historię zabójstwa Szawła opowiedzieli.

Sędziowie poczęli się naradzać.

— Ależ to śmieszna i operetkowa kwestyja!

— U obydwóch jest przedawnienie.

— Naturalnie, że obydwaj wolni są od kary.

— Ja sędzę, że nie. Co ścisłość — to ścisłość.

— Co pan pleciesz? Obwiniać i karać Gawła, to czyste błażeństwo.

— I ja tak sędzę.

— Ja również.

— W sądzie — rzekł surowo radca — błażeństwa niema. Kodeks to matematyka, to

milimetry i sekundy. — O której zeznawał Gawel?

— Czternaście minut przed dwunastą.

— A Paweł?

— Czternaście minut po dwunastej.

— Zechcesz pan z tego wyciągnąć wszelkie konsekwencje...

* * *

Gawła brali pod ramiona stróże więzienni, aby go zamknąć. Ku wielkiemu zdziwieniu Pawła, oświadczył mu sędzia, że może iść wolny do domu.

— Jakto? Jakto panie sędzio?

— Jesteś wolny od wszelkiej winy i odpowiedzialności, nie ponosisz żadnych skutków swej zbrodni, dziś bowiem z uderzeniem godziny dwunastej w południe upłynął termin, poza którym przedawnia się wina, a umarza się kara. Bywaj zdrow.

We dwa miesiące potem działy się rzeczy nadzwyczajne. Całe miasteczko było wzruszone, wszystkie umysły zajęte były Pawłem i Gawłem. W dniu tym, Paweł wybrany posłem, szedł na sześć lat do parlamentu, Gawel

zaś na sześć lat do kryminału. Wysoki zaszczyt, hańbiąca kara. A przecież między moralnością Pawła, a moralnością Gawła nie było żadnej istotnej różnicy, przez mikroskop byś jej nie dopatrył. Obaj jednacy, jednej wartości ludzie. Jeśli była jaka różnica, to tylko... bułeczka z kawiozem. Ona była tym języczkiem wagi, na której po jednej stronie jest zaszczyt, a po drugiej hańba.

* * *

Ale nie martw się czytelniku losem Gawła. Znalazła się ręka, która przechyliła wagę na korzyść nieszczęśliwego. Został on uwolnionym. Obronił go poseł, adwokat, kolega Pawła z parlamentu, któremu Paweł sprawę szczegółowo opowiedział.

Mecenas ten poszedł do trybunału kasacyjnego z papierami i rzekł:

— Gwałt stał się prawu i sprawiedliwości. Jest notorycznie wiadomem, że miasto, w którym mieszkali Paweł i Gaweł zarzuciło dzieśnięć lat temu swój mieszczański zegar, a przyjęło czas średnio-europejski. Oto reskrypt krakowskiego obserwatorium astronomicznego

orzekający, że różnica między tymi zegarami jest minut 15 i 46 sekund. Jasnym jest przeto jak słońce, że zeznanie Gawła uczynione według świadectwa sędziego o godzinie 11, minut 46, działo się właściwie o godzinie 12, minuta 1, sekund 27. Wobec tego faktem jest, że Gaweł przyznanie się swoje do winy złożył po 20 latach, jednej minucie i 27 sekundach, skutkiem czego w myśl paragrafu 228 jest wolny od wszelkiej winy.

Sprzeciwił się wywodom adwokata prokurator. Starał się dowieść na podstawie naciągniętych dat, że Gaweł zeznał kilka sekund przed dwunastą, że do dwudziestu lat brakło 3 i $\frac{3}{4}$ sekundy. Ale prokurator został wyśmianym, a Gaweł uwolnionym.

Szczegóły te opowiadał mi sam obrońca Gawła, zaprosiwszy mię na bułeczkę z kawiozem.

WYJAZD NA POLOWANIE



Przed dworkiem ogród zakwitły, koniec września, jakby te prześliczne kwiaty, ta rozkoszna zieleń chciała się pożegnać z człowiekiem, chciała po raz ostatni ludzkim oczom przedstawić się w całej swej krasie. Za kilka, kilkanaście dni zejdzie w nocy przymrozek, wszystko to kwiecie pod kosą śmierci padnie...

Malwy purpurowe się czerwienią, powoje bujne kwitną, ostróżka szafirowa jako to niebo, grządki całe chwieją się bukietami różowych, liliowych, białych i niebieskich astrów. Ze środka astrów zielona, gruba łodyga do góry strzela w ogromne liście strojna, szczyt łodygi zwisał ku ziemi pod ciężarem kwiatka, który dźwiga: to słonecznik.

Ogromna czarna tarcza w żółte liście dookoła zwieńczona, na zielonej gwieździe trzonu osadzona, złoty liść opada, tarcza prześlicznie tysiącem nasion cyzelowana dojrzewa, trzmiel, który się po niej błąka, nie ma co jeść, bo kwiatuszki rośliny w czerstwe ziarno się już zamieniły. A u stóp słonecznika ogromna

Łodyga się plezie, jakby wąż zielony snuł się wśród astrów, wśród buław czosnku, marchwi, piechotnego grochu i mięł zielonych. Od łodygi krzywy pokręcony pęd leci, na końcu jego kula złota, pstra w zielone pasy i pręgi cisawe, to dynia. Bogate, zakwitłe, złote grzędy błyszczą się na tle sadu, w którym zimowe jabłka się czerwienią, w którym na pożółkłej już węgierce z rzadka fioletowy, prawie czarny, puchem niebieskim ustrojony owoc wisi, w którym orzech leszczynowy w zielone trójki owocu się stroi...

Wśród tych czarów jesieni stałem zniecierpliwiony, zły, rady ni miejsca dla siebie znaleźć nie mogąc. Za dwadzieścia minut trzeba wsiadać do pociągu, za dwadzieścia minut przyjdzie maszyna na przystanek. Tu w domu naszego znajomego mieliśmy się wszyscy zejść, stąd mieliśmy iść na kolej, i do najbliższej stacyi na polowanie jechać. Łowy ogromne, z całej okolicy myśliwi się zjechali. Tu miało przyjść sześciu, a dotąd żywej duszy nie masz.

Siadłem przed werandą pod lipą, patrzy-

łem na kwietne grzędy, na ogród owocem złoty i czerwony, no — i byłem wściekły...

Gdym zobaczył, że z werandy wyszedł właściciel folwarku, złość moja zwiększyła się jeszcze. Bo ten stary, to sławny nudziarz. Przed chwilą uciekłem od niego. Najpocciwszy, najlepszy starowina, ale strasznie nudny. Gadatliwością swoją dziurę w brzuchu wierci. Jestem ofiarą, a ofiarą tembardziej pożałowania godną, że on sam siedzi w tym dworze i nie ma się do kogo wygadać. Dziś się wygada.

Wyszedł z werandy, trzymając numer *Gazety Narodowej* w rękę.

— Pan czeka na myśliwych? Ja wyszedłem do ogrodu, aby gazetę przeczytać.

— Zajmuje się pan polityką?

— Teraz trochę...

— Dawniej nie?

— Nie miałem czasu, mój panie, na książkę ni gazetę. Od wschodu do zachodu człowiek harował, aby mieć spokój na stare lata, żeby dziecku zostawić ziemię...

— Pan prenumeruje gazetę?

— Ja nie. Dzieci moje trzymają dzienniki

i kupują książki. Im potrzeba. Muszą żyć ze światem, wiedzieć, co się w Europie dzieje.

— Ale widzę gazetę w ręku pana.

— To z plebanii. Wszystko, co czytam, mam od księdza proboszcza. Co ma nowego, zaraz mi posyła. Żywoty księdza Piotra Skargi, powieść o Chmielnickim i Szwedach, kalendarza zawsze mi pożyczczy...

— Dziś dał gazetę?

— Nie on. Ksiądz proboszcz pojechał z rana na odpust. Przykrzyło mi się, posłałem tedy na plebanie, żeby mi służący dał co do czytania.

— Przyniósł *Gazetę Narodową*?

— Tak jest. Dzisiejsza. Dziś jest sobota, dwudziesty szósty września.

— W istocie. Sobota, dwudziesty szósty września.

— No, to dzisiejsza. Dowiemy się przecie, co się w Europie dzieje. A wie pan, że już z pół roku gazety nie czytałem. Jaki pan czyta dziennik?

— Także *Gazetę Narodową*.

— To pan już dzisiejszy numer czytał?

— Nie czytałem. Numer dostanę wieczór.

— A to panu najświeższe wiadomości powiem.

— Bardzo panu wdzięczny będę — odrzekłem, wierząc się z niecierpliwości na piętach.

Stary zaczął dziennik czytać.

— Na Bałkanie Turcy broją..

— Niech ich dyabli wezmą — rzekłem zniecierpliwiony do najwyższego stopnia.

— Pełtew śmierdzi.

— To nie jest nowina. Ona śmierdzi już od kilku tysięcy lat, to niechże śmierdzi dalej.

— Wilhelm wygłosił mowę...

— Po co oni to drukują? Przecież każdy wie, że on codziennie ma najmniej dwie mowy.

— Oczywiście.

— Żali się gazeta na nieporządki na kolejach. W trzeciej klasie przepełnienie ogromne, ludzie w wagonie nie siedzą, lecz stoją.

— Bardzo słusznie.

— Słusznie mówisz pan? Ja nie podzielam pańskiego zdania. Pan chcesz, żeby w pociągu były łóżka?

— W trzeciej klasie pełno żydów.

— Jedź pan pierwszą.

— To wszystko jedno. W trzeciej klasie jeżdżą żydzi, a w pierwszej dziennikarze.

— Recenzja teatralna. Wystawiono w teatrze lwowskim «Maryę Stuart» a rolę tytułową grała Modrzejewska. Ja byłem cztery razy w życiu w teatrze, a ostatni raz grała właśnie Maryę Stuart Modrzejewska. Jak ślicznie grała! Jak ślicznie! Lubisz pan teatr?

— Nie cierpię — rzekłem, aby przerwać rozmowę.

— No, ale gdyby tak Maryę Stuart grała Sara Bernard, tobyś pan poszedł?

— Nie poszedłbym, gdyby rolę Maryi Stuart sama Marya Stuart grała.

— Patrzaj pan. W Ameryce jest jakiś młody elektrotechnik Edison, który wynalazł...

— Jakto młody?! Stary jak świat...

— Tu w gazecie napisane, że młody. Otóż ten Edison powiada, że za pomocą elektryczności będzie można rozmawiać na odległość.

— Stara historia. Już można. Telefon.

— Marzy Edison, aby wynaleźć telefon bez drutu.

— Głupstwo. Taki telefon już oddawna jest.

— Gdzie?

— Między Lwowem a Wiedniem.

— Można rozmawiać?

— Właśnie w tem cała sztuka, że nie można.

— Dlaczego?

— Bo ten telefon jest bez drutu, drut jest zawsze przzerwany.

— A przecież ten genialny Edison...

— Ale dajże pan spokój z tym genialnym Edisonem. Co za genialność!? Wynalazł rzecz już dawno w Galicyi wynalezioną.

— Książę Bismark, kanclerz rzeszy niemieckiej jedzie do Wiednia.

— Kto jedzie?

— Kanclerz Bismark.

— Jaki kanclerz? On już umarł.

— Jeśli jedzie, to nie umarł.

— A ja panu powiadam, że umarł.

— Tu w gazecie tak stoi. Jedzie do Wiednia, aby odbyć konferencyę.

— To jest omyłka drukarska.

— Ale czytajże pan, jest wyraźnie wydrukowane.

— Po co ja mam czytać? Wiem na pewne, że Bismark umarł, a całe jego życie jest omyłką drukarską.

— W Wiedniu zajechał do hotelu »zu vier Jahreszeiten«.

— Ten hotel jest też omyłką drukarską. Takiego hotelu we Wiedniu niema. Znam Wiedeń, jak własną kieszeń, wróciłem stamtąd przed tygodniem.

— W przeglądzie politycznym piszą, że Rosya zawarła pokój z Turcyą.

— Jakże mogła zawrzeć pokój, kiedy wojny wcale nie było.

— Przecie tu jest wydrukowane, że rosyjskie wojska pod Konstantynopolem stoją.

— Mój panie dobrodzieju! Proszę ze mnie nie robić waryata, bo ja, dzięki Bogu, mam zdrowych pięć zmysłów i wszystkie klepki w porządku. Co prawda, to sytuacja na Bałkanie jest bardzo groźna, król Piotr serbski chce abdykować, w Macedonii rozruchy, Bułgaria lada dzień wojnę Turcyi wyda, kto

wie, może wojska rosyjskie wkroczą, idąc z północy do Bułgarii...

— Z południa przyjdą, nie z północy.

— Kto?

— Wojska rosyjskie.

— Jakto? Z jakiego południa?

— Jeśli stoją pod Konstantynopolem, to do Bułgarii muszą iść w kierunku północnym.

— Kto panu mówił, że wojska rosyjskie stoją pod Konstantynopolem?

— Tak mówi *Gazeta Narodowa*, którą trzymam w ręku. Czytaj pan.

— Po co ja mam czytać? Znam dokładnie dzisiejszą sytuację polityczną. Jeśli wczoraj Rosyanie byli w Petersburgu, to dziś nie mogą być w Konstantynopolu.

— A jednak są. Bismark żąda, aby kongres w sprawie tureckiej odbył się w Berlinie.

— Jaki Bismark? Mój Panie! To jest wiadomość, która do Lwowa przysłała na galijskim telefonie bez drutu. Rozumiesz pan?

— Przeczytam panu telegramy.

— Dziękuję. Oto trzech myśliwi się zbliżają. Idziemy na kolej...

- We Wiedniu...
- Żegnam pana dobrodzieja. Sygnały zwia-
stują nadejście pociągu.
- Z Paryża jest telegram...
- Przeczytam numer wieczorem. Do wi-
dzenia!
- Berlin. Zamach na cesarza Wilhelma!!!
- Co!?! Zamach?!
- Tak jest.
- Straszne!!! Ależ to straszne!!! Mówże
pan szczegóły!
- Zaraz. Przeczytam następny telegram.
»Sprawca zamachu przewieziony do więzienia
na Moabitenstrasse.«
- Ależ to okropne!!!
- Strzelał do cesarza Nobiling...
- Nobiling?! Jaki Nobiling?! Co pan mó-
wisz?! Znowu Nobiling?! Czy to jaka dy-
nastia Nobilingów?! Pokażno pan tę gazetę.
- Oczy moje piorunem po zadrukowanych
kolumnach latały. W istocie były wiadomości
o kanclerzu Bismarku, o wojnie rosyjsko-tu-
reckiej, o kongresie berlińskim, o Nobilingu,
który wykonał zamach na cesarza Wilhelma...
Zdawało mi się, że oszalałem. Przecie to dwa-

dziecia pięć lat temu, jak Nobiling... Nie, to
to straszne. To zwaryować można. A jed-
nak tak jest. Dyabeł chwycił czas, jak kota
za ogon, obrócił dawne dzieje i nanowo do
życia je powołał. Jeszcze raz oczy moje po
gazecie lecą — tak jest, oszalałem, trzeba się
do domu obłąkanych zgłosić, po co mnie
mają wozić w kaftanie, kiedy ja z własnej
woli pójdę. Ostatnie spojrzenie na nagłówek
gazety...

— OOO!

— Była to *Gazeta Narodowa* ze soboty
dnia 26. września 1878. Drukowano ją lat
temu dwadzieścia pięć.

Przekonałem się, że zdrów jestem, w chwili,
gdy pociąg, opuściwszy przystanek, był już
daleko...

Wszystko to jest tylko jedno
i to samo, co było przed
tym, i co będzie po
tym. Wszystko to jest
jedno i to samo, co
było przed tym, i co
będzie po tym. Wszystko
to jest jedno i to samo,
co było przed tym, i co
będzie po tym.

DOCI

Wszystko to jest tylko jedno
i to samo, co było przed
tym, i co będzie po
tym. Wszystko to jest
jedno i to samo, co
było przed tym, i co
będzie po tym. Wszystko
to jest jedno i to samo,
co było przed tym, i co
będzie po tym.

AFORYZMY.



Patrzcie państwo, przecie to człowiek głupi! On sam był kowalem swego szczęścia, on cierpi za własne winy, złorzeczy zaś losowi, przeznaczeniu. Otrzymał pocztą przykry hio-bowy, nieszczęsny list, mści się więc, bije kijem nie tego, który list na pocztę oddał, lecz... listonosza.

* * *

Och to pijaństwo! Doktor odkrył pewnik, że nadmiar gorzałki skraca życie. A ja znowu odkryłem, że jeszcze bardziej skraca życie nadmiar wypitych łez.

Tem odkryciem staję do turnieju o nagrodę higieniczną na konkursie Nobla.

* * *

Głupi i niesforny chłopak zastrzelił pokrzywkę. Spadła ptaszyna na ziemię jak kamień. Zostawiła pisklęta. Nie wiedziałem, gdzie jest gniazdko, w którym się wylęgły, dopóki bowiem matka żyła, cicho było w gniazdku, bo ptaszęta były syte.

Idąc za piskiem głodnych ptasząt znalazłem ich legowisko w gałęziach tarniny.

Gdym odchylił gałęzie, uciszyło się w gnieździe. Pięcioro ślepych ptasząt otwarło dzióbki wyciągając je do góry. Paszczki całą szerokością otwarte. Sądziły, że matka przysła...

Dzióbki nerwowo do góry wyciągnięte, oczy ślepe... Nie wiem czemu ptaszęta robiły na mnie wrażenie ludzi nieszczęśliwych, modlących się, patrzących ze wszystkich sił zrozpaczonych dusz w górę... Nie wiem czemu...

Znowu pisk i znowu spokój, bo do gniazdka dostał się niesforny chłopak.

Dzióbki w górę wyciągnięte, pyszczki z grodu nerwowo rozdziawione i otwarte... — —

Do pyszczków napluł niesforny chłopak...

Kim ty jesteś chłopcze? Szatanem czy... —

Czemu ty plujesz — — — — —

— — — — —

— — — — —

LISTY Z KRAJU.



Redaktor, powierzając mi prowadzenie kroniki miejskiej i krajowej, nudził mnie przez dwie godziny. Ostrzegał przed listami z prowincyi, uważnym czynił, że trzeba je czytać *cum grano salis*. Mówił, że korespondentami prowincjonalnymi kieruje często osobista animozya, że w artykułach nadsyłanych są szpilki, na których ukłuje się, nie zastrzegający sobie tajemnicy korespondent, lecz znany i wiadomy ludziom redaktor.

Wygadał się, poszedł, a ja na drugi dzień zacząłem redagować kronikę miejską i krajową.

Woźny redakcyjny oddał mi stos listów, notatek redakcyjnych, druków, cyrkularzy. Był tam repertoar teatru, program koncertu, dwa pożary kominowe i ośm defraudacyj. Wszystko odnosiło się do spraw brukowych miejskich. Z prowincyi było listów tylko trzy. Na wszystkich ta sama pieczęć pocztowa: Łapanów murowany. Zdziwiłem się, że dziennik nasz, który ma w Łapanowie tylko dwóch prenumerato-

rów, ma w temże samem mieście aż trzech korespondentów. Rozdarłem koperty i zacząłem listy czytać.

Pierwszy z nich brzmiał:

Łapanów murowany, 8 kwietnia. Klub cyklistów i towarzystwo racjonalnego sportu rybackiego, złączone od zeszłego roku w jedną instytucję pod nazwą »Sport«, złożyło nowy dowód żywotności i społecznej pracy. Dzięki usiłowaniom naszego dzielnego i sympatycznego prezesa, jak niemniej staraniom p. dr. Ogórka, odbyło się tu amatorskie przedstawienie, które wypadło po prostu imponująco. Piszący te słowa widział kilka zagranicznych teatrów, a jednak stwierdzić musi, że niektórzy tutejsi artyści-amatorowie mogliby śmiało występować na stołecznej scenie i tam zdobywać laury, jakich im dać nie może nasza skromna prowincya.

Grano dwie sztuki Korzeniowskiego, a wykonawcy zdobyli huragan oklasków za znakomitą grę, której blasku zaćmić nie zdołała zjadliwa krytyka kilku osobników z bruku, rzucających błotem na wszelką zasługę, na

wszelką obywatelską pracę. Na pierwszym miejscu wymienić należy pełną wdzięku i pełną czarę królowę tego wieczoru, pannę Maryę Pe... Wielki jej sceniczny talent i uroda niepomierna wprawiła w zachwyt wielbicieli, którzy nie mieli słów pochwał i słów dziękczynienia. Obok panny Maryi Pe. odznaczyli się także pp. I. M., A. F., tudzież p. dr. Ogórek, którego wybornej reżyseryi zawdzięczać należy znaczną część powodzenia wieczoru. Po wyczerpaniu programu odbyła się w salach klubu »Sport« uczta na cześć sympatycznego naszego prezesa, którego wzorowa finansowa gospodarka doprowadziła towarzystwo nasze do rozkwitu. Czczono go też licznymi toastami, podnosząc jego niespożyte zasługi.

Drugi list był taki:

Łapanów murowany 8 kwietnia. Grafomania i teatromania są nowożytnymi chorobami, na które, zdaje się, lekarstwa niema. Niechże tego dowodem będzie wczorajsze przedstawienie amatorskie, które w mieście naszym wywołało powszechne zdumienie. Żał nam

było szczerze Korzeniowskiego, rozpiętego na torturze amatorskiej męki, żal nam było znakomitego pisarza, który w grobie leży i nie może wziąć kija, aby katom swym podziękowanie na grzbiecie wypisać.

Mniejsza zresztą z tem, bo na całym świecie, we wszystkich amatorskich teatrach dzieje się koryfeuszom literackim ciężka krzywda. U nas jednak zdarzył się wczoraj wypadek niesłychany. Wśród amatorów-artystów, nie mających najmniejszego pojęcia o tem, co to jest sztuka aktorska, najmniej o tem pojęcia miała niejaka p. M. Pe... Otóż klika prostackiej hołoty za każdym zjawieniem się gąski zaczynała niesłychane owacy, krzycząc, wyjąc i kwiatami niefortunną artystkę obsypując. Publiczną tajemnicą jest, że dyrektorem i inicjatorem tej klaki jest znany w mieście Alfons, który się w p. Pe. kocha; w wolnych zaś chwilach od fabrykowania nieortograficznych elegij miłosnych, głupie korespondencye do dzienników pisuje.

Brzmienie trzeciego listu było następujące:
Łapanów murowany 8 kwietnia. Spółka

komandytowa, trzęsąca naszym miastem, postawiła na swoim. Tak długo trwała podziemna jej robota, aż naczelnicy jej zagarnęli władzę nad zjednoczonym towarzystwem »Sport«. Prezesem tej instytucji jest od dwóch lat pewien pan, który na żaden sposób nie chce zdać rachunków ze stanu kasy, choć opinia publiczna ciągle i ciągle się tego domaga.

Co prawda, nie podzielamy tego żądania opinii. Po pierwsze bowiem humanitarność nakazuje nam nie życzyć nikomu kryminału, powtóre tli w nas słaba nadzieja, że może pan ten wygra na liczbowej loteryi i dość wczesnie defraudacyę pokryje. Aby zamydlić oczy i odwrócić publiczną uwagę w inną stronę, zorganizował prezes »Sportu« amatorską trupę teatralną. Myśl piękna, szkoda, że kierownictwo sceniczne oddano w ręce dr. O., który doskonale impasuje damę pod króla, który wybornie zna środki na ból głowy, spowodowany wypiciem trzydziestu koniaków, który jednak o teatrze, ani o sztuce nie ma najmniejszego wyobrażenia. Mimo szalonych wysiłków dr. O., sztuki Korzeniowskiego nie

runęły, — mimo idyotycznej reżysery przedstawienie się udało. Publiczność jest w zupełności zadowolona, jeśli zaś zjawily się o siłach amatorskich, zwłaszcza zaś o grze panny Pe... ujemne głosy, to wyszły one od pewnego młodzieńca, u którego po herbacie tańczącej w domu państwa Pe... znaleziono we fraku dwie łyżki srebrne, zabrane przez roztargnienie. Ubolewać natomiast należy, że podniosła uczta ducha, jaką było teatralne przedstawienie, nie potrafiła uszlachetnić panów, stojących na czele wydziału towarzystwa. Urządzili sobie po przedstawieniu w salach »Sportu« zwykłe, codzienne, ordynarne pijaństwo.

.....

Odłożyłem na bok trzy nadesłane listy, pomny zaś na cenne uwagi redaktora, jałem korespondencję z Łapanowa murowanego pisać sam.

Brzmiała ona:

Łapanów 8 kwietnia. Niedawno zdarzył się tu smutny w następstwa wypadek. Na pewnej ulicy zjawił się wściekły pies, który biegł przez ulice miasta. Mimo pościgu straży były

ofiary w ludziach. Pokąsał on trzech ludzi, pożałowania zaś godną okolicznością jest to, że pokąsani należeli do klasy inteligentnej, że obdarzeni byli dużym talentem literackim i dla przyszłości publicystyki naszej pięknie rokowali nadzieje. Pomimo prędkiego szczepienia metodą Pasteura nie dało się pokąsanych uratować. W dniu dzisiejszym wystąpiły w pełnej sile objawy straszliwej choroby w ten sposób, że wszyscy trzej nieszczęśliwi zaczęli pisać do gazet idyotyczne, jadowite korespondencje.

.....

Poczem rękopis mój oddałem do drukarni, trzy listy zaś z Łapanowa murowanego wrzuciłem do kosza.

ODPOCZYNEK LETNI.

HUMORESKA.



Miałem straszną wizję. Na wspomnienie krew się ścina.

Było to tak. Wyjechałem przed miesiącem na letnie mieszkanie. Dokąd? Nie powiem, bo nie chcę mieć awantury z wójtem, z przysiężnymi, z komitetem parafialnym i z radą szkolną miejscową. Powiedzieliby, że ich wieś czernię, że turystów i letników od niej odstrasza. Ponieważ jednak w artykule muszę miejsce pobytu mego letniego wymienić, nazwijmy więc tę wieś Wola. Ruda Wola, Mała Wola, Justowska Wola, Czarna Wola, Obskurna Wola, Biała Wola, Pomarańczowa Wola, Zatracona Wola, Zielona Wola, niech więc będzie Zielona Wola. W kraju rozmaitych Wól będzie z pięćset, żaden więc z wójtów, żaden z przysiężnych, żadna z miejscowych rad szkolnych nie może się na mnie obrazić.

Co ja przeżyłem na tem letnim mieszkaniu w Zielonej Woli!

Czy ty czytelniku masz we Lwowie wy-

godne mieszkanie?! Tak?! Chcesz wyjechać na odpoczynek letni? Zatem posłuchaj mojej rady, a nie będziesz wcale potrzebował wyjeżdżać ze Lwowa, używając mimoto przepysznej willegiatury. Ja ci zrobię odpoczynek sielski we Lwowie. Otóż, jeśli masz pięć pokoi, zamknij je wszystkie na klucz, a sam wprowadź się na strych. Z łóżka wyrzuć materac i spij na gołych deskach, do łóżka nadto wsyp dwa worki psze. No i już na twym strychu jest wspaniałe, przepyszne letnie mieszkanie. W takim mieszkam w Zielonej Woli od miesiąca!

Do mieszkania dostrajają się i inne warunki życia. W poniedziałek w braku wołowiny jadłem chleb, masło i herbatę, we wtorek masło, herbatę i chleb, we środę herbatę, chleb i masło. We środę mięsa nie było, bo żydek w sąsiednim miasteczku »nie bił« we czwartek chleb i herbata, bo masła niema, w piątek żydek bił, ale to, co on bił, weterynarz do ziemi zakopał. O ty weterynarzu! Zakopałeś wszystkie moje nadzieje! W sobotę głód, w niedzielę święto, ludzie w kościele, kółko rolnicze zamknięte, chleba niema,

— głód straszliwy — co począć — ujrzałem w potoku pstrąga, rzuciłem się jak zgłodniały tygrys aby rybę połknąć żywcem, pstrąg uciekł, a ja pożarłem kamień. Dobre i to na te ciężkie czasy.

Życie straszne, ale za to pejzaż poetyczny i piękny. W poniedziałek wyszedłem nad ruczaj, który wije się u stóp rozkosznej zieleni. Jakby poeta ten cud wymyślił, jakby genialny jakiś pejzażysta ten krajobraz skomponował. Woda jak kryształ zaprasza cię do kąpieli, nad szmaragdową falą, chwieją się rubinowe grona kalin.

— Co pan chce robić? — pyta mnie się jakiś gospodarz.

— Kąpać się.

— Nie radzę.

— Dlaczego?

— Bo w tym baniorku są końskie pijawki.

— Przecie ja koniem nie jestem.

— One bardziej jeszcze lubią człowieka jak konia.

Okryłem plecy surdudem, chcę iść na kwietną łąkę, którą widzę na brzegu lasu...

— Czyj to las?

— Mój, panie.

— Pozwolicie, mój ojczcie, maliny w nim zbierać?

— Cobym nie miał pozwolić?

— Przy lesie taka łąka piękna, na niej krowa się pasie...

— Na tę łąkę pan nie chodź!

— Czemu?

— Bo ta krowa bodzie.

Zbliżała się ku mnie straszliwa bestya, z okropnymi, spiczastymi rogami, patrząc na mnie tak bystro, jakby mnie miała zamiar fotografować. Dałem nura na drugi koniec Zielonej Woli. Wszak nie jestem torreadorem, który się bije z bykami. Na drugim końcu wsi, gdym patrzył na prześliczną chałupę, obrosłą dzikiem winem, otoczoną ulami i zakwitłymi słonecznikami, przerwała mi kontemplację rajske estetyczne rozkosze pszczoła, która ugryzła mnie w nos. Z jadu i spuchnięcia dostałem gorączki.

Położyłem się do łóżka, które miało dwa worki pcheł. Miałem w gorączce straszną wizję. Na wspomnienie krew się ścina...

Oto zabiłem ojca i matkę, podпалиłem siedm

wsi, stoję tedy przed kryminalnym trybunałem. Przemawia prokurator, obrońca, pytania stawia trybunał. Powieszają mnie niewątpliwie. Co za rozkosz! Nareszcie skończy się ten pobyt w Zielonej Woli. Na drugim świecie nie masz pijawek końskich, nie masz bodącej krowy, która krwawemi ślepiami patrzy się na mnie, jakby mnie miała zamiar fotografować. Wyzwolenie zatem, uwolnienie! Już, już! Poszedł trybunał na naradę, wnet odczytają wyrok. Załatwili się, wyszli. Przewodniczący błądy ze wzruszenia, trzymając w rękę wyrok. Szubienica niewątpliwie. Od radosnej nadziei drży serce. Cisza grobowa na sali, ława przysięgłych powstała, powstał prokurator, adwokat... Drżącym głosem wyrokuje przewodniczący:

— »Dożywotnie zesłanie do Zielonej Woli«...

O ty bezlitosny okrutniku, wyzuty ze wszystkich uczuć ludzkich!

AFORYZMY.



Nauka stwierdziła, że struna lub kamerton jeśli drży mniej niż trzydziestu ruchami na sekundę, to wydaje ton, którego ludzkie ucho słyszeć nie jest w stanie. Nauka stwierdziła, że poza najwyższym tonem słyszalnym przez ucho ludzkie, tak jak i poza najniższym są dalej tony, których człowiek słyszeć nie jest zdolny. — — —

Nauka stwierdziła, że poza siedmioma barwami tęczy, które daje pryzmat, są i z jednej strony widma tęczowego jak i z drugiej, barwy, których oko ludzkie widzieć nie jest zdolne. Istnienie tych nieistniejących dla człowieka barw stwierdziły badania ciepłoty i badania chemiczne... — — —

Powiedciez mi moi państwo, czy nikt we wszechświecie nie widzi tych nieznanych człowiekowi barw, czy nikt nie słyszy tych tonów, których ludzkie ucho usłyszeć nie jest zdolne? Czy są istoty, dla których skala barw i skala tonów nie ma granic? — — —

* * *

Wielki mędrzec rzekł do mnie: Przysięgnę ci na prawdę, że Bóg jest, ale nie jestem w stanie udowodnić, że On jest.

* * *

Sprawy straszne, wieczne, nieogarnione.
Nie patrz w słońce, bo od blasku stracisz wzrok, nie patrz we Wszechmoc, bo od ogromu stracisz rozum.

* * *

A stawiać pewniki w pytaniach śmiertelnych, to opisywać melodyę tonu, brzmiącego poza skalą, którą człowiek słyszeć jest w stanie, to opisywać barwy poza granicami tęczyowego widma słonecznego. Ufaj człowiecze termometrowi, który stwierdził, że poza tęczą barwy są, uwierz w dowody, że poza skalą ton jest... — — —

CIEŻKA KRZYWDA.



Oni siedzą niewinnie. Zwiedzałem kryminal na Wiśniczu i przekonałem się, że obywatele tam zgromadzeni, tak ci, co noszą żelaza na rękach jak i ci, którzy ich nie noszą, trzymali się ściśle zasad prawa międzynarodowego. Prawo to orzeka, że jeśli nieprzyjaciel wkroczy w cudzą ziemię, jeśli niema co jeść i brak mu na prowadzenie wojny gotówki, wtedy »rekwiruje«. Rekwiruje się ze stajen chłopskich bydło, z kas miejskich pieniądze, ze sklepów wino, korzenie i wszelkie towary. Ci, co siedzą na Wiśniczu, nic innego nie robili tylko rekwirowali. Jeden poszedł do cudzej stajni i wziął sobie dwa konie, drugi rekwirował rękę do cudzej kieszeni i dobył stamtąd pulares wraz ze złotym zegarkiem, trzeci wybrał się w nocy ze siekierą na rekwizycyą do miejskiej Kasy Oszczędności. Złapali tego wojownika wtedy, gdy podważał drzwi żelaznej kasy. Siedzi za to lat dwanaście i cierpi.

Nie o cierpieniach ich jednak chcę pisać,

nie o niesprawiedliwości, jakiej ze stanowiska prawa międzynarodowego doznali. W zasadniczej krzywdzie stała im się w tych dniach jeszcze szczególna krzywda, specjalna krzywda.

.

Obywatele, dzwoniący żelazami na Wiśniczu otrzymali kilkadziesiąt broszur, które rozrzucała nieznana i tajemnicza jakaś ręka. Były to nowości wydawnicze, wystawione we wszystkich księgarniach, cieszące się wielką poczytnością tak w Warszawie, jak Krakowie, Lwowie i Poznaniu. Tytuły tych broszur brzmiały:

Zasady i reguły pojedynku.

Postępowanie w sprawach pojedynkowych.

Przepisy kodeksu honorowego.

Treść tych broszur pochłonięto. Wsiąkły one całkowicie w mózgi. Rozpaliły umysły i tych, co noszą żelaza i tych, którzy ich nie noszą. W duszach rozplómiły się idee. Idea zrodzona w duchu musi mieć upust, musi się z nią człowiek zwierzyć prywatnie przed przyjaciółmi, lub publicznie, za pośrednictwem czernidła drukarskiego. Obywatele

wiśniccy obrali drugi sposób zwierzania się. Zaczęli pisać. Cały gmach kryminału to jedna wielka fabryka pisarska. Powstało sto broszur. Rekwirent, który sięgał do cudzej kieszeni, we dnie skubie pierze lub plecie koszyki z wikliny, a wieczór pisze. Mistrz, który w nocy chodził do Kasy Oszczędności z wytrychami, pochylał głowę ciężarną myślami, podniósł rękę ciężarną kajdanami i pisze. Wszyscy piszą rozprawy tej samej etycznej wartości, co zasady pojedynku i przepisy kodeksu honorowego. Z tej samej moralnej dziedziny, co postępowanie w sprawach pojedynkowych. Na wzór książek wystawionych i sprzedawanych w księgarniach Warszawy, Krakowa i Lwowa, stworzył kryminał wiśnicki dzieła:

Zasada wytrychowa i użycie siekiery przy podważaniu kłodek u śpichlerza.

Postępowanie przy wyłamywaniu okiennic.

Teoria odrzynania zegarków w świetle nowoczesnej krytyki.

Krótki i pewny sposób rozłupania czaszki ludzkiej bez huku i łoskotu.

Praktyczna metoda oporządzenia pasażera w sypialnym wagonie.

Zastosowanie fotografii do wyrobu klisz na storubłównki.

Hypnotyzowanie stróża przy kasie za pomocą siekiery.

Wszystkie te dzieła miały wyjść drukiem. Byłyby się rozeszły w tysiącach egzemplarzy. Wystawionoby je w księgarniach Warszawy, Krakowa i Lwowa obok reguł pojedynkowych i przepisów w sprawach honorowych. Wszak to dzieła jednej etyki, jednej i tej samej moralnej wartości. Wszak autorowie ich to ludzie, którzy albo siedzą, albo powinni siedzieć. Jedno prawo dla wszystkich. A czemu obywatelom, którzy cierpią, wydać ich dzieł zabroniono? Czemu wspinałe rękopisy ich zniszczono? Czemu znakomitym autorom wyrządzono ciężką krzywdę?

KUCHNIA WŁOSKA.

HUMORESKA.



Jedni nawoływali, aby iść do trattoryi na śniadanie, drudzy mieli apetyt na polską gospodarską kiełbasę, jaką z kraju przywieźliśmy sobie w walizkach; ja wstrzymałem w zapędach jednych i drugich.

— Municipio na przyjęcie dziennikarzy wydaje bankiet, jeśli zaś o godzinie pierwszej w sali rady miasta jest obiad, nie bądźcież panowie gorączkowi i nie psujcie sobie apetytu.

— Ach... obiad! Wczorajszy obiad w trattoryi był taki lichy...

— Nie jadłem nic dwa dni.

— Niepodobna przecie jeść tej minestry..

— Niechże ją...

— Ja umieram z głodu.

— Za dwie godziny przecie bankiet! —
zawołałem.

Siła mej wymowy powstrzymała ludzi od jedzenia. Wyszliśmy na miasto. Oglądaliśmy Piazza dei Signori, Muzeo di Storia naturale,

spacerowaliśmy po Giardini publici. Z uderzeniem godziny pierwszej...

.

Przyjęcie było wspaniałe. Stoły tonęły w kwiatkach. Zastawa przepyszna. Menu drukowane na ozdobnych kartonach. Uczestników międzynarodowego kongresu dziennikarskiego powitała orkiestra umyślnie na ten cel napisaną symfonią. Burmistrz sam wskazywał gościom miejsca. Gdyśmy usiedli, lokaje w pończochach zaczęli rozdawać *consommé*. Co prawda wolałbym barszcz z rurą, wolałbym żur ze ziemniakami. Bo ten bulion taki cienki... No, ale przecie na bankiecie włoskim nie dadzą mi galicyjskiego barszczu...

Po *consommé* minęła godzina. Głód. Kiszki się skręcają z głodu. Gdy Polak głodny, to zły, ja nie byłem już zły, ale... Gdy mój przyjaciel ze Lwowa zapytał mnie, jak mi się podoba widziany w galerii miejskiej obraz Tiepola — rzekłem:

— Mój kochany, nie doprowadzaj mnie do wściekłości, bo walę w łeb talerzem.

OOO! Niosą coś! Półmiski! Na dnie pół-

misków, widać... Co to jest? Spojrzałem na menu.

— *Anti-pasti principii*.

Będzie długi obiad, skoro dają wstawki. Co to będzie za antypasta, dowiedziałem się wnet. Położono mi na talerz jedną sardynkę i ośmnaście oliwek. Te oliwki mógłby sobie zabrać. I u nas przecie są tarniny w lesie, których pies nawet jeść nie chce. Sardynka wyborna. Ale właśnie dlatego, że wyborna pasya brała człowieka. Bo w tej chwili powinnyby dać mi tych sardynek beczkę. Nie, to mało. Gdybym teraz był na brzegach Bretonii, poleciałbym, aby dziesięć statków rybackich zagnało wszystkie sardynki oceanu do mojego gardła. Pożarłbym je żywcem.

Podesta przemawiał. Oracya jego trwała zaledwie pół godziny. Wniósł nasze zdrowie. Spełniliśmy duszkiem. Wino *bianco* podnieca apetyt. Oh, to wino! Mój żołądek jako płonąca strzecha, którą polewają tem winem, jak naftą. Skurczyłem się we dwoje. Głód objawia się już bólem, siedzę zwinięty w kałłąk na krześle.

No, nareszcie! Wpadło siedmiu lokai w poń-

czochach. Jedzenie jakieś niosą. Gdym spoj-
rzał na drukowane menu, co to będzie, mało
nie wyskoczyłem z radości. Pieczone! Zbli-
żył się do mnie lokaj z półmiskiem. Patrzę...

Zemdlałem. Na widok zawartości półmiska
straciłem zmysły. Gdym przyszedł do siebie,
przekonałem się, że mnie nie pominięto.
Owszem całe danie leżało na talerzu. Był to
jeden komar z różną i dwadzieścia pięć fun-
tów zielonej sałaty. Fura sałaty! A przecież
ja nie jestem krową.

Angielski dziennikarz przemawiał godzinę.
Dowodził, że Italia jest matką kultury.

Po jego mowie wino, po winie podano
Arancio insalata guarnizione. Była to oczywiście
znowu sałata. Po sałacie mówił dziennikarz
francuski, że Italia jest rajem. Wychyliłem dusz-
kiem toast. Potem mówił dziennikarz chiński.
Miał obcięte uszy.

W Chinach, jeśli artykuł nie podoba się
rządowi, prokurator państwa nie konfiskuje
go, lecz obcina autorowi uszy. Co za wy-
borna prasowa procedura!

Nie rozmyślałem nad tem, bo podano *Car-*

ciofi cavoli fiori. Jest to sałata. Widziałem,
że mój sąsiad kładzie pod stołem w rewol-
wer naboje. Mówię do niego ze łzami w oczach:

- Nabiłeś?
- Tak.
- Pożycz mi!
- Chcesz strzelić w łeb kucharzowi?
- Nie, sobie.

Na szczęście siedmiu lokai w pończochach
wniosło półmiski. Co na nich było? *Len-
ticchie, Asparagi, Spinaci, Gobbi e Fagiolini*.

— Powiedz mi, co to jest? — pytam się
sąsiada.

- To wszystko znowu sałata.
- A żeby ich też...
- Praktyczny naród.
- Dlaczego praktyczny?

— Bo taki Włoch jak złapie pająka, to uwę-
dziwszy go i zebrawszy dziesięć wagonów
sałaty, ma pieczone z rodziną na całą zimę.

Widziałem, że o głos prosi jakiś amery-
kanin. Pewnie będzie mówić ze dwie go-
dziny. Wyniosłem się chyłkiem do westybulu
miejskiego. Tam spotkał mnie jakiś Sło-
wieniec.

- Czemu pan taki błdy?
- Zmęczony jestem — odrzekłem, nie chcąc powiedzieć prawdy.
- Opuszcza pan bankiet?
- Tak jest.
- Wielka szkoda, że pan nie zostaje na ostatnim daniu.
- Oczy mi się zaiskrzyły.
- Na ostatnim daniu? A cóż to będzie? Słowieniec uchylił boczne drzwi, prowadzące do ogrodu.
- Patrz pan!
- Prześliczna, zielona trawa. Tak pięknej trawy jeszcze nie widziałem.
- A widzisz, pan?
- Mówiliśmy o ostatnim daniu, a nie o trawie.
- Właśnie o tej trawie. Każdy z uczestników będzie mógł przyjść tu i na ostatek tej trawy poskubać.
- Czy to także sałata?
- Oczywiście.
- Byłbym mego interlokutora zastrzelił, gdyby nie to, że na sali gwałt i zamieszanie wielkie.

Po jakiegoś Szweda przyjechał wóz ratunkowy. Zemdlął biedak z głodu.

Wszyscy towarzysze moi zerwali się, lecąc do hotelu, aby jeść. Niestety po drodze dwóch padło z głodu, trzeci zaś skonał na schodach hotelu. Ja dopadłem numeru i zjadłem kiełbasę razem z walizką.

Werona w maju 1904

72571



SPIS RZECZY.

1. Bułeczka z kawiozem	5
2. Wyjazd na polowanie	23
3. Aforyzmy	37
4. Listy z kraju	41
5. Odpoczynek letni	51
6. Aforyzmy	59
7. Ciężka krzywda	63
8. Kuchnia włoska	69



20177
164813
123711

We wszystkich księgarniach

**Nowości wydawnicze
Ludwika Stasiaka:**

Humoreski

Nowe Humoreski

Pieniądz

powieść.

Brandenburg, kraina słowiańskich
mogił. Powieść historyczna.

Skarbiec Króla Kazimierza
w przepaściach bocheńskiej żupy
mieszczkańska powieść historyczna.

Trzecie Humoreski

(pod prasą).